

665



Teatr Polski w Szczecinie. Stanisław Ignacy Witkiewicz: „Jan Maciej Karol Wścieklica”. Reżyseria Aleksandra Strokowskiego. Na zdjęciu: Marian Nosek — Jan Maciej Karol Wścieklica, Irena Grzonka — Rozalia, w głębi Bohdan A. Janiszewski — Abraham Młaskauer. (Recenzję J. P. Gawlika zamieszczamy na str. 30).

Foto: Aleksander Wituszynski

WŚCIEKLICA

JAN PAWEŁ GAWLIK

Trwa dobra passa St. I. Witkiewicza w polskim teatrze. Po pomnikowej edycji jego „Dramatów” wydanych przez Konstantego Puzyń (ukazał się właśnie drugi nakład), teatry śmieiej niż dotąd sięgają po kłopotliwego klasyka próbując rozstrzygnąć czy jest heroldem „nowoczesności” czy chlubą przeszłości. Stąd nieporozumienia. Ludziom się często wydaje, że jeśli cokolwiek odbiega od grzecznego realizmu należy to wystawiać w formie możliwie najbardziej wyrafinowanej lub uduchowionej, stąd, z kolei, charakterystyczna ewolucja jego inscenizacji i recepcji: od nieczytelnej prawie groteski Szajny i Kantora, zabawnej i nasyconej, to prawda, ale niemilośnie duszącej naturalny komizm tekstu, poprzez bardzo arbitralne realizacje Jarockiego („Matka” z 1967 r.) do coraz przejrzystszych, coraz wierniejszych autorowi prób wydobycia oryginalnego witkacowskiego humoru i rzeczywistych intencji utworu. Ewolucja ta zaznacza się wyraźnie w twórczości realizatorów zajmujących się konsekwentnie tą dramaturgią. Zaznacza się również w historii Witkacego na polskiej scenie. Można by ją określić jako drogę od deformacji do treści, od uduchowienia do zrozumienia. Sam Witkacy jest dostatecznie złożony i przekorny, wystarczająco przy tym groteskowy i paradoksalny, by próby dublowania tej paradoksalności i groteski innym gatunkiem czy środkiem wyrazu nie stwarzały niebezpieczeństwa artystycznej tautologii recte gadulstwa. Gadulstwa przyczyniającego się często do siania nieporozumień. A właśnie w eliminacji, w prostocie, tkwi siła sztuki.

To też dobrze się stało, że realizator szczecińskiej premiery „Jana Macieja Karola Wścieklicy” Aleksander Strokowski porozumiał się z scenografem Janem Banuchą w tej materii i dał przedstawienie prowokujące prostotą i czytelnością. Przedstawienie nieomal naturalistyczne, w którym cały, okrutny w tej sztuce sarkazm i kpina Witkacego, widoczne były jak owad w bursztynie. Ów pozorny naturalizm i przejrzystość witkacowskiej drwiny, a nade wszystko miejsce jakie w przedstawieniu przyznano wyobraźni i inteligencji autora, przesądzały o znaczeniu szczecińskiej realizacji. Jest ona na pewno ważną propozycją w sprawie metody realizacji tej dramaturgii. Przypomina odkrycie dokonane kiedyś na Mroźku: im prościej, tym lepiej. Jest to prostota wymagająca od teatru prawdziwego samozaparcia. Pro-

stota wręcz ascetyczna — (a kto z nas chętnie uprawia ascezę?).

Znacznie łatwiej o ekspresję i wyraz w przerysowanych inscenizacjach i sylwetkach, w których wykonawca może posłużyć się gestem i maską, wymodelować postać i grać ją z powodzeniem, słabości wnętrza, głosu, talentu przykrywając wyrazistością formy. Żadna z tych sztuczek nie przydaje się jednak w tej konwencji. Aktor prezentuje publiczności swój talent obnażony, liczy się tylko jego rzeczywista sprawność i siła. Stąd może niepokojąco słaba tym razem realizacja tego dobrze pomyślanego przedstawienia. Stąd nie uznająca taryfy ulgowej konfrontacja aktora z bardzo trudnym tekstem i konwencją gry. Nawet tak krwisty i rzetelny aktor jak wykonawca roli tytułowej, Marian Nosek, ledwie zmieścił się w rygorach

stylu. Zagrał hojnie i z rozmachem, był wiarygodnym Janem Maciejem, stworzył postać rzetelną i prawdziwą, ale daleko mu było do kreacji. A tymczasem aż prosi się, by Wścieklicę grał aktor taki, który nam się potem śni. Być może, że aktora takiego w Polsce w ogóle nie ma, ale nie dosyt pozostaje — tym bardziej, że był to tym razem niedosyt bar dziej uniwersalny, osłabiony jedynie dobrą grą Ireny Grzonki w roli Wścieklicowej, zabawnymi przerysowaniami Niny Grudnik w sylwetce Wandy Lektorowiczówny i rzetelną, dobrze pomyślaną i dobrze zagrąną przez Jerzego Ernza postacią Ananaza Demura — dyplomaty i hazardzisty wielkiej polityki.

W tej sytuacji pozostała jako danie główne zjednująca naszą przychylność i naszą uwagę wspomniana już wyrazistość insceni-

zacji zapewniona przedstawieniu przez Strokowskiego i Banuchę. Pozostało także to, co rysuje się pod bursztynem czyli: Witkacy. Witkacy jako pisarz tym razem par excellence polityczny. Jako drwiący z Witosza enfant terrible polskiej dramaturgii porwijący widza piruetami myśli, błyskami dowcipu, a nade wszystko zajądłością ciosów, jakich nie oszczędza jednemu z najpotężniejszych ówczesnej polskiej konstelacji politycznej. Słuchamy zafascynowani i ubawieni, nieomal niedowierzając okoliczności, że nabrzmiały jadem, dyszący pogardą i kpina pamflet polityczny w najlepszym stylu napisany został w 1922 r. a więc tuż po i tuż przed kolejnym premierostwem Witosza. Atakował więc (mimo zaprzeczeń Witkacego) jednego z najsilniejszych, najbardziej wpływowych polityków ówczesnego PSL-u, twórcę przyszłego Chjeno-Piasta, co za tym idzie — sojusznika endencji w owych latach. Atakował z niesłychanym temperamentem, furia nieomal, nic więc dziwnego, że z niemalym zainteresowaniem sztuka ta została przyjęta przez polską opinię w tamtych czasach. Prapremiera „Wścieklicy” odbyła się w warszawskim Teatrze im. Fredry w lutym 1925 r. a przedstawienie grane było 68 razy „Była to — jak pisze Puzyń — największa ilość przedstawień, jaką osiągnęła sztuka Witkacego za życia autora”. „Wścieklicę” wystawiono potem we Lwowie (1926) w dniach otwartego premierostwa Witosza i w dniach zamachu majowego, by przywrócić go scenie w czterdziści lat później — na scenie Teatru Narodowego.

Dziś, oczywiście, przebrzmiała już aktualność tej szarży. Mało kto wie naprawdę kim był Witos. Kto pamięta jeszcze Chjeno-Piasta, Centrolew, to wszystko co było powietrzem tej komedii, co nadawało jej ostrości i siły? A przecież sarkazm pozostał, pozostał też dowcip i drwina. Pozostał cały Witkacy, który z demonicznego i nierozumianego ojca polskiej awangardy teatralnej co raz wyraźniej staje się klasykiem naszego teatru.

Już nie szokuje, ale zaciekawia. Coraz rzadziej staje się też pretekstem dla inscenizatora. Co raz częściej natomiast przy realizacji jego utworów teatr rezygnuje z niefrasobliwej dowolności, coraz częściej dociera do widza wydobywana spod kamuflażu i nieporozumień myśl i idea St. I. Witkiewicza.

Dobrze się stało, że również ze Szczecina padło w współczesnej dyskusji o Witkacym ważne słowo.



„Jan Maciej Karol Wścieklica” w Teatrze Polskim w Szczecinie. Na zdjęciu: Nina Grudnik — Lektorowiczówna, Jerzy Ernza — Ananaz Demur, Marian Nosek — Jan Karol Maciej Wścieklica, Roland Głowacki — Klawecyn Gorgozan Bykoblazjon.

Foto: A. Wituszyński